

# Róża Nowotarska

---

## Pan Aleksander : Aleksander Janta-Polczyński (1908-1974)

---

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 2, 210-217

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## PAN ALEKSANDER

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI (1908–1974)

„Trzeba więcej niż jednej pary oczu pour  
suporter le spectacle du monde.”  
(A. Janta *Duch Niepokojny*)

### I

Pana Aleksandra poznałam dwadzieścia lat temu. Przyjechał do Detroit w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Może azyłu dla zbiegłego właśnie ze statku polskiego marynarza, któremu trzeba było opłacić adwokata i bronić przed deportacją. Może arrasów wawelskich, które niszczały w Kanadzie. Może w sprawie nagłej pomocy zamieszkałemu w Londynie pisarzowi, który tracił wzrok a nie miał z czego żyć. Może zabiegał o fundusze na wydanie książki bardzo ważnej dla Polonii amerykańskiej, a może na nagrobek dla Cypriana Norwida. Dzisiaj już nie jest istotne, którą z tych spraw właśnie załatwiał. Ważne natomiast, że załatwiał stale coś dla kogoś, z poczucia obowiązku ludzkiego i społecznego. Był mężem opatrnościowym, instytucją do której można się było zwracać w potrzebie i na której można było bezgranicznie polegać.

Napisałam, że poznałam Pana Aleksandra, ale właściwie to on poznał mnie. Wezwana wcześniej telefonem, „mam dla pani pozdrowienia od Kazimierza Wierzyńskiego, który surowo mi przykazał się z panią zobaczyć. A pani, wysłuchać tego, co mam jej do powiedzenia”, weszłam do wypełnionej po brzegi sali Domu Związku Narodowego Polskiego. Byłam spóźniona. Odczyt zaczął się o szóstej, a ja o siódmej kończyłam pracę. Pan Aleksander przerwał tok wywodów, przesłosił słuchaczy i przecisnął się w stronę drzwi.

„Pani jest Róża Nowotarska — podał mi rękę — Tak sobie właśnie panią wyobrazałem. Cieszę się, że pani przyszła.”

Następnie wrócił na podium i mówił dalej, kierując od czasu do czasu uważne spojrzenie w moją stronę. Po prelekcji otoczono go ze wszystkich stron i zarzucano pytaniami, na które cierpliwie, uprzejmie odpowiadał. A potem, już przy kawie i ciastkach, gdy nareszcie mogliśmy usiąść i swobodnie porozmawiać, powiedział:

„Wiem o pani bardzo dużo od Kazia. Tacy ludzie jak pani są bardzo potrzebni. Czy mi pani pomoże...”

W czym konkretnie miałam pomagać, dowiadywałam się później z listów, w które włączone były uprzejme polecenia. Czasem poza miłym nagłówkiem i serdecznościami przy podpisie nie było w nich nic, poza poleceniem.

13.7.57

„Droga Pani: Za radą Kazimierza Wierzyńskiego piszę do Pani z prośbą o dowiedzenie się co stało się z rzeczami Karoli Zagórskiej, która podobno umarła w Detroit przed dwoma laty. Czy ją pani знаła? Czy zna pani kogoś, kto z nią był blisko? Znalazłem przed paru tygodniami w Uniwersytecie Yale fotografię jej z Conradem — przygotowuję obecnie studium o pamiątkach Conradowskich w Ameryce, zależało by mi bardzo na dowiedzeniu się co stało się z tymi jakie miała Karola i czy były między nimi listy Conrada. Będę Pani bardzo wdzięczny za pomoc, radę oraz wskazówki co zrobić aby trafić na ślad tych rzeczy, a także dowiedzieć się o okolicznościach życia i śmierci Karoli. Łączę pozdrowienia...”

7.7.58

„Pani Różyczko: Czy przyszło Pani kiedyś do głowy aby zrobić akcję «szukajmy na strychach»? Jestem przekonany że wyniki byłyby zaskakujące. Piszę o tym na marginesie odkrycia zrobionego w starym domu, w którym znalazła Pani białe kruki. Pod stertą starych gratów nikomu niepotrzebnych. Czy widzi Pani sposób aby takiemu marnotrawstwu zaradzić? Tyle bezcennych

rzeczy zginęło w wojnie i tyle ich ginie tutaj, w pokoju... Proszę koniecznie przyjechać do Nowego Jorku, może wspólnymi siłami coś wymyślimy? Szczerze oddany...”

6.2.60

„Droga Pani: Czy nawiązała Pani Kontakt z Kalinówną, względnie *vice versa*? Jakie perspektywy jej występu? Właśnie załatwiłem dla niej Toronto gdzie wystąpi... Przesyłam Pani program wieczoru z którego właśnie wracam — gdyby można było coś podobnego urządzić w Detroit ale na gruncie wyłącznie amerykańskim? Serdeczne pozdrowienie...”

6.12.61

„Droga Pani: Doszła mnie wieść o śmierci... Podobno miał wspaniały zbiór polskiego malarstwa. Na miłość Boską, niech Pani coś zrobi aby ten zbiór nie przepadł lub nie dostał się w niepowołane ręce. Czy zostawił kogoś, kto się tym interesuje, zabezpieczy, doceni wartość? Rozpacz mnie ogarnia gdy myślę, że Kossaki, Fałaty czy Mehoffery wylądują na strychu albo gorzej, bo na śmietniku... Przesyłam serdeczności, oddany...”

5.11.63

„Droga Pani: Otrzymałem apel w sprawie Stefana Wicika. Widzę, że potężne siły pracują nad zapewnieniem mu powodzenia u publiczności w Nowym Jorku. O tyle lepiej tenorom, niż pisarzom. Zrobi się oczywiście co się da. Wróciłem właśnie z drugiego pobytu w Buffalo (wieczór autorski) i zbieram, a raczej podsumowuję rezultaty kampanii na *Flet i Apokalipsę*, przedłużoną zresztą do końca roku aby wszyscy zdążyli. Łączę serdeczne pozdrowienia i do zobaczenia, może tutaj?...”

Tak więc w listach i rozmowach telefonicznych, we wzajemnej pomocy i w nieczęstych — niestety — spotkaniach, rozwijała się nasza znajomość, która z czasem przerodziła się w przyjaźń.

\*

Był też Pan Aleksander dobrym, serdecznym przyjacielem w potrzebie. Kiedy moje osobiste życie przechodziło wstrząsy przy równoczesnym dość trudnym okresie przystosowania się do pracy w urzędzie federalnym jakim był „Głos Ameryki”, w którym szukałam sobie właściwego miejsca — nie udzielał mi zbawiennych rad ani nie dawał moralnych pouczeń. Nie zalecał przemyślenia jeszcze raz od początku sprawy, którą przemyślałam już wiele razy przedtem. Telefonował natomiast przynajmniej raz w tygodniu, pytając jak sobie radzę i czy mi czegoś nie potrzeba. Wyrażał też za każdym razem niezachwianą wiarę w moją siłę psychiczną i zdolność przystosowania się do nowych warunków — osobistych i zawodowych.

W tym też okresie przyjechał do Waszyngtonu do Michała Kwapiszewskiego w jakiejś pilnej, książkowej sprawie, nie omieszkując przy okazji zapoznać mnie z sędziwym dyplomata. Odwożąc mnie taksówką ze spotkania do mego nowego domu powiedział: „Proszę pamiętać, że bywają tragedie w przebraniu. Taki jest pani przypadek. Niedługo, pozorną przegraną zamieni pani w wygraną. Jest w pani siła i upór przetrwania, nie mówiąc o talentach... proszę je teraz rozwinąć! A w chwilach samotności, niech się pani wybierze do Michała i namówi go na nagranie na kasety wspomnień — jest chodzącą kroniką dyplomacji polskiej. Miała by pani znakomity materiał do pisania. Proszę wypełnić sobie każdą wolną godzinę pozytywnym zajęciem — to najlepsze lekarstwo, eliminujące zale i smutki!”

Po jakimś czasie, gdy życie się uładziło i wróciło do normy, w jednej z rozmów telefonicznych usłyszałam: „Wygrała pani swoją niezależność — a to było przecież najważniejsze! Proszę tę niezależność dobrze wykorzystać! niech pani nareszcie zacznie pisać do «Wiadomości»! Tam jest pani miejsce. A Grydzewski bardzo się ucieszy... No i warto może pomyśleć o jakiejś książce...”

## II

W pierwszych latach spotykaliśmy się na zjazdach Polsko-Amerykańskich Klubów Kulturalnych, Polskiego Związku Akademików, Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Polskiej lub przy innych okazjach. Były to lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych. Na marginesie codziennych zajęć zarobkowych zaangażowani byliśmy w pracę społeczno-kulturalną. W pewnym okresie Pan Aleksander był prezesem buffalowskiego Klubu Artystycznego i w ramach działalności tego klubu urządził odczyty lub wieczory autorskie ciekawszych prelegentów i pisarzy. Gościł u siebie Józefa

Czapskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Melchiora Wańkowicza, Arthura Pruddena Colemana, Zygmunta Haupta, żeby wymienić kilka nazwisk. Na innych wieczorach sam opowiadał to o rysunkach Feliksa Topolskiego, to o drzeworytach Stefana Mrożewskiego ilustrując swe wywody bogatymi zestawami oryginałów i reprodukcji. Starał się też stworzyć polski teatr amatorski, co mu się po jakimś czasie i na bardzo krótki czas udało.

Jak wspominałam spotykaliśmy się z Panem Aleksandrem na zjazdach, na których albo był mówcą, albo otrzymywał za pracę społeczno-kulturalną lub osiągnięcia literackie, już nie wiadomo którą nagrodę, dyplom uznania, odznaczenie.

Nie zdobywał ich łatwo. Jego postawa, jego poglądy odrębne od ustalonych, wzbudzały nieufność wielu ludzi ze starej, osiadłej tu od kilkudziesięciu lat Polonii, wiernej swym przeważnie starym tradycjom. Wyczuwali w nim inność, której nie umieli zdefiniować. Pan Aleksander był obcą im formacją psychiczną, miał inne zaplecze kulturowe. Był kimś nowym, wobec kogo należało być ostrożnym i czujnym. Był reformatorem wzbudzającym niepokój. A on wiedział dlaczego chciał reformować. Oto co pisał na ten temat w książce *Nowe odkrycie Ameryki* (Libella, Paryż 1973).

„Odkąd nastąpiłem do Buffalò, miejscowi i zamiejscowi rzeczoznawcy od spraw Polonii w tym mieście twierdzili jednogłośnie, że co jak co — na gruncie kulturalnym nie ma żadnych szans i szkoda czasu gdyby kto próbował coś zrobić. A już tym bardziej, jeśli usiłował by zmienić cokolwiek w zastalych i zasiedlonych obyczajach organizacyjnych. Utwierdzały ludzi w tym zastaniu się i zasiedzeniu parafie, z natury rzeczy konserwatywne i poprzez szkółki parafialne odrabiające obowiązki wobec polskości, ucząc dzieci parafian języka na tyle aby mogli się modlić i słuchać kazania. Reszta polskości to były już tylko polki tańczone z zapalem i pokrzykiwaniem, działalność chórów, zrzeseń i towarzystw zwolujących co jakiś czas posiedzenia nudne i długie, urządzających pozatem oplatki i święconki, akademie, bankiety z podszewką patriotyczno-religijną, o programach trwających po kilka godzin, mowach licznych i długich, występach artystycznych dziatwy szkolnej, popisach dorastających albo dorosłych osób, z których każda lubi produkować się pieśnią, odegraniem muzycznego kawałku lub deklamacją. Robi się z tego dość uciążliwy przekładaniec, mało który z występów posiada artystyczną wartość, publiczność jest na ogół cierpliwa i niewybredna, oklaskuje każdego po równi, a wychodzi po paru godzinach z poczuciem odrobienia ciężkiej służby na rzecz dalekiej Polski, znudzona, i zmęczona do ostateczności, ale zawsze gotowa się poświęcić od nowa — następnym razem.

Uogólniam i przejawiam może, ale podsumowuję tym opisem wrażenie z dziesiątek imprez na których przypadło mi być, a czasem zabierać głos jako jednemu z pięciu, siedmiu, a było nawet, że dziesięciu mówców.” (str. 170–171)

Nowa, powojenna emigracja bardzo często uważała niektóre przekonania Pana Aleksandra za zdradę. Zalecał na przykład gorąco wyjazdy do Polski, nie dlatego, że można tam było dostać na czarnym rynku sto złotych za dolara, zaimponować wystawną kolacją w Bristolu i doskonale się za te czarnorynkowe złote zabawić, ale dlatego, że — jego zdaniem — nie należało tracić kontaktu z krajem pochodzenia. Był też pierwszym propagatorem wymiany między Polonią a Polską. Zakładał, że dla obu stron coś pozytywnego z tej wymiany wyniknie. Uważał też, że przede wszystkim ludzie piszący z tej i z tamtej strony powinni, jedni odwiedzać Polskę, a drudzy Amerykę, aby mieć szersze spojrzenie — jedni na kraj, drudzy na świat. Tego przekonania, któremu dawał wyraz już od 1949-go roku, nie zmienił do końca.

Przeglądam notatki zrobione po spotkaniu z Panem Aleksandrem na zjeździe w Detroit, w roku 1959-tym. Oto kilka zdań z tej rozmowy:

„Jakże korzystna byłaby konfrontacja pisarzy żyjących poza Polską, z nową rzeczywistością, różną od tej z przed 1939-go roku. A polskich, przykręcanych śrubą soc-realizmu z światem, który oddycha wolno. Ale odnoszę wrażenie, że się czegoś bardzo boimy, że coś nas w tej koncepcji przeraża. Czy wynika to z braku przekonania i wiary w naszą słusność? Z niepewności? Nie wiem, muszę nad tym pomyśleć.”

Wyraz tych przemyśleń znajdujemy w odpowiedzi na ankietę londyńskich „Wiadomości”, w sprawie podziału literatury polskiej na „krajową” i „emigracyjną”. Przytoczył ją w przedmowie do *Fletu i Apokalipsy* (1964).

„Gdy idzie o klasyfikację pisarzy, (podział) nie pokrywa się z geograficznym rozróżnieniem kraju od emigracji. Ideowo jest sprawą nie tylko prywatnych podnieceń, branych często za przeko-

nia, nie tylko stosunku do tej lub innej rzeczywistości politycznej, ale stosunku samego pisarza do pracy, zadań i obowiązków, jakie sobie postawił.

Jest dla mnie nie od dzisiaj bardzo istotną sprawą poczucie pewności, że pisarz, jeśli nawet dostaje się nieraz z natury swej publicznej działalności na pierwszą linię rozgrywek politycznych lub ideologicznych swojego czasu, musi sobie stanowczo rezerwować prawo stanięcia ponad nimi. Czas to zresztą załatwia zwykle za tych, którym wydawało się, że nie mogli się na to zdobyć. W świetle perspektywy dziejowej wydaje się mimo wszystko nieaktualne a nawet do pewnego stopnia groteskowe pytanie, czy Mickiewicza albo Norwida zaliczać do literatury krajowej, czy emigracyjnej?

Jeśli jednak przyjąć istnienie podziału literackiego na «kraj» i «emigrację», ich wzajemny stosunek jest z natury rzeczy i warunków uzupełniający.”

Ciekawe światło na jego rozumienie tego związku, tej zależności, a jednocześnie na samookreślenie się jako pisarza rzuca następujące zdarzenie, o którym pisze w *Nowym odkryciu Ameryki*. Otóż podczas jednego z pobytów w Polsce, zaproszono go do wystąpienia w programie telewizyjnym jako „przedstawiciela Polonii”. Pan Aleksander, jak sam zaznacza nigdy się do takiego przedstawicielstwa nie poczuwał. Odmówił więc wystąpienia w nie swojej roli. Zapraszająca go na ten występ pani z telewizji bardzo się zdziwiła:

„A w takim razie kim pan jest?” — zapytała.

„Pisarzem polskim, mieszkającym poza Polską.” — odpowiedział Pan Aleksander, dodając, że istnieją w historii precedensy takiej sytuacji.

Pani z telewizji zgodziła się z nim całkowicie, że owszem, istnieją. Ale zaproszenia nie podtrzymała.

Jak podkreślam, stara Polonia nie rozumiała na ogół Pana Aleksandra, a dla powojennej był zbyt awangardowy, zbyt śmiały w poglądach na „niepopularne” tematy. Nagrody, dyplomy i odznaczenia otrzymał dopiero wtedy, gdy do głosu doszli młodzi, wykształceni Amerykanie polskiego pochodzenia i młodzi powojenni emigranci, którzy nie przyjmowali ani za obrazę, ani za zdradę idealów takich słów, jak te, które zanotowałam na zjeździe w Detroit:

„Nie jest specjalnie ważne aby Amerykanin polskiego pochodzenia umiał mówić po polsku. Dużo ważniejsze jest aby — obojętnie w jakim języku miał coś do powiedzenia albo w interesie Polski, albo na jej temat. Nie kładźmy tak wielkiego nacisku na naukę języka polskiego, a raczej na wiedzę o Polsce. Zyskamy na tym i my i Polska.”

Tę myśl powtórzył potem i rozwinął w książce *Nowe odkrycie Ameryki*.

Spotykałam się nieraz z zarzutem, że publicystyka Pana Aleksandra w przeciwieństwie do jego poezji i prozy literackiej, jest jakby chaotyczna, niedopracowana. Wynika to chyba stąd, że w książki swe włączał czasem teksty wypowiedzi czy wystąpień dyskusyjnych, których niejednokrotnie nie miał czasu zredagować powtórnie, tak by odpowiadały wymaganiom słowa pisanego. Warto o tym pamiętać, bo wiadomo, że przemówienia czy odczyty wymagają częstokroć zupełnie innego podejścia niż książka czy artykuł. To co brzmi doskonale powiedziane na żywo, traci czasem po publikacji i odwrotnie.

A był Pan Aleksander mówcą świetnym, mądrym, porywającym. Chociaż nie używał wielkich słów, patriotycznych hasel i nie wołał, że nie oddamy, nie pozwolimy, nie odstąpimy. To znaczy właśnie to mówił, ale inaczej, apelując do intelektu, do rozumu, a nie jedynie do emocji. Mówił o zadaniach kulturalnych Polonii, o obowiązkach wypływających z dostępu do bogactwa dwóch kultur. Zalecał czytanie książek o Polsce, zapoznawanie się z jej najnowszą historią. Nawoływał do urządzania wystaw sztuki polskiej, do zakładania prywatnych zbiorów, kolekcjonowania poloników. Woził zresztą ze sobą stare mapy, rękopisy, foliały, które chętnie pokazywał, objaśniał, tłumaczył. Apelował o urządzenie odczytów, wieczorów literackich, zabiegał o jakieś obiady czwartkowe, które stałyby się okazją do wymiany myśli i poglądów. Lansował też, bezskutecznie, pomysł utworzenia międzynarodowego Klubu Książki Polskiej.

### III

Na zjeździe Związku Akademików w Buffalo w roku 1963-cim w świetnym przemówieniu, którego fragmenty zanotowałam, mówił z pasją, niemal z gniewem:

„Obowiązkiem każdego kulturalnego człowieka jest czytać książki. Nie byle jakie książki, a dobre, bardzo dobre. Obowiązkiem Polaka jest znać literaturę polską i wiedzieć o swym kraju tak dużo, jak to tylko możliwe. Ale na tym się nasze obowiązki nie kończą. Zadajmy sobie pytanie: o ile wzbogaciliśmy naszą wiedzę? Mając wolny dostęp do literatury światowej, czyśmy z tej możliwości skorzystali? Gdybym wam teraz zadał pytanie! Ileście przeczytali, coź byście odpowiedzieli? Zalecam wam gorąco, skoroście mnie tu na mówcę poprosili, macie czytać, czytać, czytać...”

I już przy akompaniamencie okłasków powstaje z miejsc młodej publiczności dokończył cytatem ze Slonimskiego:

„Świat nie jest piłką futbolową, świat się podbija głową...”

Pan Aleksander był zwolennikiem i propagatorem pozytywnego myślenia i pozytywnego działania. Niezwykle rzutki, czynny, zapobiegliwy, nie rozumiał ludzi, którzy nic nie robili, zajmując się jedynie krytykowaniem cudzych poczynań. A nie znosił tych, którzy w każdej inicjatywie społecznej dopatrywali się prywaty. Miał też bardzo surowy sąd o luminarzach z wielkimi hasłami na ustach.

W jednym z listów skarżyłam się na słaby oddźwięk na apel o przedpłatę na książkę Ferdynanda Goetla *Anakonda*. Pamiętam, że użyłam tam sformułowania: luminarze żywią się własnym światłem wewnętrznym i nie mają 5 dolarów na nową polską książkę.

A oto co odpisał mi Pan Aleksander:

23.3.60

„Cóż to za luminarze życia polskiego, krzyczący o Polsce, o walkę o Polskę, o wierność Polsce, których nazwisk nie widziałem jeszcze ani na jednej liście subskrybentów, na żadnej liście ofiarodawców na utrzymanie «Wiadomości» czy «Kultury»... Podejrzewam, że nie prenumerują żadnego polskiego pisma. Uważają, że z racji „stanowiska luminarza” wszystko im się należy za darmo. Przyczyniać się mają inni, nie oni. Im tylko chwała i sława. Za nic.”

W roku 1964-tym Pan Aleksander zadał sobie niemały trud obliczenia ile osób przeciętnie zamawia książkę w przedpłacie. Wiem, że konsultował się z innymi pisarzami. Okazało się, że doświadczenia w tej dziedzinie były bardzo podobne. Ilość nazwisk wahała się od czterystu do sześciuset. Wyniki tej prywatnej ankiety omówił w książce *Przyjemnie zapoznać* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972):

„Społeczeństwo polskie poza krajem, chętnie przez swoich rzeczników i przedstawicieli różnego autoramentu szcycące się wysoką pozycją kultury polskiej i jej osiągnięć, traktuje współczesnych, żyjących wśród niego pisarzy w najlepszym wypadku jak odświętny luksus, a czyta ich od biedy na szpaltach dwóch czasopism, które dla okrętu emigracji są jak żagle, dające jakiś podniecający myśli łopot i dyskusyjny albo koncepcyjny napęd w szarżyźnie codziennego zarobkowania.

Jezeli mimo to mówić można o wcale znacznym, kto wie czy nie czołowym w perspektywie historycznej dokonaniu emigracji polskiej po drugiej wojnie, o jej dorobkach naukowych i literackich, to jest to skutek heroicznego niemal uporu i ambicji niewielkiej stosunkowo garstki ludzi, wspomaganey i podtrzymywanej przez nieznaczną tylko odłam społeczności. Ten nieznaczący odłam odnotowany jest na kartach niektórych książek polskich, wydanych na zachodzie pod postacią «spisu przedpłacicieli».

Przekonany jestem, że owe «spisy» studiowane będą z czasem jako dokumenty przynoszące zaszczyt udziałowcom w tych trudnych przedsięwzięciach, ale wystawiające smutne świadectwo ogółowi polskiemu na Zachodzie. Wynika z nich bowiem niewspółmierna z głoszoną postawą obojętność wobec zjawiska, które na daleką metę może się okazać wkładem najtrwalszym.” (str. 308)

Te dość bolesne ujawnienia prawd, o których wolano by nie pamiętać, nie zjednywały mu przyjaciół. W niektórych kręgach uważano go za aroganta, za człowieka chełpliwego i zarozumiałego. Ale bliscy przyjaciele i ludzie, którzy dobrze go znali, uważali go za wielkiego pana. Za arystokratę ducha. Był troskliwy, życzliwy, a przy tym pozbawiony sentymentalnej wylewności. Był też doskonałym obserwatorem. Miał wizjonerski niemal dar oceniania prawdziwego charakteru ludzi na pierwszy rzut oka. Później, nieraz po wielu latach, wielokrotnie miałam okazję przekonać się, że czasami rzucona zdawkowo uwaga, którą zbagatelizowałam, albo uważałam za przesadnie złośliwą, okazywała się niesłychanie trafna. Wyrozumiały dla drobnych słabości i śmiesznośtek, nie miał usprawiedliwienia dla rozgrywek za plecami, dla odgrywania się w podstępny sposób.

W związku z pewną „akcją podziemną” prowadzoną przeciwko mojemu *Tryptykowi wojennemu* powiedział mi:

„Jeśli chcę kogoś uderzyć, zakładam bokierskie rękawice i wychodzę na ring a nie przypinam sobie skrzydeł i nie udaję anioła. Osoba, która działa przeciwko Pani, na pewno się do Pani — jak ja ją znam — uśmiecha...”

Poglądy Pana Aleksandra różniły się przeważnie od ogólnie przyjętych. Brano mu to często za złe, tym bardziej, że nie zmieniał ich, aby się komuś przypodobać. Albo by wskutek ich zmiany coś dla siebie uzyskać. Wolał mieć raczej wszystkich przeciwko sobie, tracić posady, pozostawać bez środków do życia aniżeli zrezygnować z przyjętej postawy, jeśli tę właśnie uważał za słuszną.

#### IV

Tak więc jego amerykańskie lata, szczególnie pierwsze po wojnie, nie należały do najłatwiejszych. Zaczynał tutaj, jak wielu innych, od zajęć dalekich od pisarstwa i dziennikarstwa. Zbierał ogłoszenia handlowe w Pittsburgu. Handlował pierogami w Buffalo. Chwytał się różnych dorywczych prac, aby tylko utrzymać się na powierzchni, od nikogo nie być zależnym. Potem nareszcie dostał posadę w dziale miejskim buffalowskiego „Dziennika dla Wszystkich”. Posadę tę potraktował jako zaczepienie i nowe pole do działania, gdyż poziom literacki dziennika był delikatnie mówiąc, mierny. Mając za sobą przeszło dwudziestoletnie doświadczenie dziennikarskie myślał, że powoli zdola wprowadzić zmiany, które by się odbiły korzystnie na poziomie pisma o, jakby nie było, szerokim zasięgu. Ale bardzo prędko przekonał się, że w „Dzienniku dla Wszystkich” na podciągnięciu pisma wżwyż nikomu nie zależało. A już najmniej naczelnemu redaktorowi, który obawiał się, że jedyny w zespole fachowiec mógłby zagrozić jego pozycji. Z drobnych powodów wywoływał nieporozumienia, dochodziło do małostkowych konfliktów. Panu Aleksandrowi chodziło o dobro pisma, które reklamowało się jako ostoja kultury polskiej, serce Polonii i największe pismo polskie w Stanach Zjednoczonych walczące ofiarnie o utrzymanie polskości — naczelnemu redaktorowi chodziło o własny prestiż i o posadę, której nawiasem mówiąc, Pan Aleksander wcale nie zagrażał.

Odmienność postaw redaktora naczelnego i Pana Aleksandra, a jednocześnie różnica ich formatu moralno-politycznego uwidoczniła się najwyraźniej w sytuacji, w której w grę wchodziła wolność, a być może nawet i życie innego człowieka — Polaka, nowoprzybyłego uchodźcy, który znalazł się w sytuacji tragicznej, co wymagało natychmiastowej interwencji władz miejskich, czy też emigracyjnych. Ale aby tę interwencję uzyskać, trzeba było sprawie nadać jak najszybciej, jak największy rozgłos. Pan Aleksander napisał obszerny artykuł, będąc pewnym, że ze względu na konieczny pośpiech artykuł ten pójdzie w następnym numerze. Na pół godziny przed zamknięciem numeru zauważył, że nie przysłano mu korekty. Na pytanie co z korektą, usłyszał odpowiedź, że to nie takie ważne... że artykułu w ogóle nie złożono. Domagał się odpowiedzi na pytanie kto zdecydował o tej sprawie — otrzymał wykrętne, ogólnikowe odpowiedzi. Wiedział, że nikt się nie przyzna i nikogo nie wskaże. I wtedy Pan Aleksander powiedział co myśli o kierownictwie pisma i obyczajach w nich panujących. Po tym zajściu posada w dziale miejskim skończyła się natychmiast.

To tak bywa bardzo często w starciu oportunisty dysponującego pewnym zakresem władzy, z człowiekiem, który może przeciwstawić mu tylko wartości nie liczące się z punktu widzenia biurokraty — to jest rozumu i serca.

Doświadczenie z „Dziennika dla Wszystkich” uświadomiło Panu Aleksandrowi, że tylko całkowite uniezależnienie się pozwoli mu na pionierską pracę społeczną i kulturalną. Dziś słowa te brzmią może nieaktualnie, ale od lat pięćdziesiątych bardzo dużo się zmieniło, właśnie po linii reformatorskich, niepopularnych kiedyś zaleceń Pana Aleksandra. Ilu ludzi dziś o tym pamięta?

Wystarczy popatrzeć na dzisiejszą akcję wymiany studentów i naukowców prowadzoną przez Fundację Kościuszkowską, na nagrody Fundacji Jurzykowskiego przyznawane pisarzom i naukowcom emigracyjnym, ale także pisarzom i naukowcom z Polski, przysłuchać się ciągłym apelom o podniesienie poziomu prasy polskiej w Ameryce, aby przyznać ile słuszności było w nawoływaniach i napomnieniach, za które wówczas go potępiano.

O swych różnych niepowodzeniach i nienajlepszych doświadczeniach Pan Aleksander mówił i pisał otwarcie. Ta szczerość powodowała, że łatwo i bez skrępowania można było z nim rozmawiać

o własnych pomyłkach. Zwierzać się z naiwnych czasem planów. Niezyciowych, a nawet jak się czasem zdawało, śmiesznych zamierzeń. Najdziwniejszy, najbardziej nieprawdopodobny pomysł rozpatrywał poważnie, doszukiwał się punktu, z którego można by startować i coś pozytywnego osiągnąć. Szukał dróg realizacji każdego marzenia.

Gdy przyjeżdżał do Waszyngtonu, zawsze dawał mi znać, że jest w mieście. Tematem naszych rozmów były przede wszystkim sprawy wydawnicze, książkowe. Bo one stanowiły główny punkt jego zainteresowań i jego główną troskę. Potrafił drobiazgowo, w najmniejszych szczegółach, omawiać koszt papieru, druku, składu. Obliczać koszt znaczków pocztowych, kopert, zawiadomień i to nie swojej książki. Udzielał cennych rad jak trafić do czytelnika. Wskazywał do kogo warto apelować, a kogo należy pomijać. Wymieniliśmy spisy potencjalnych nabywców, subskrybentów. Słuchał uważnie moich doświadczeń w tej dziedzinie, nie lekceważył żadnej najbłahszej nawet rady. Był dobrym towarzyszem w sprawach pisarskich, bez zazdrości i zawiści. Pamiętam jak się ucieszył gdy mu kiedyś powiedziałam, że mam listę co najmniej pięciuset nazwisk. „Dobrych” nazwisk.

„Niech pani tę listę prześle Tomaszewskim... może im się przyda. Właśnie ogłaszają przedpłatę...”

Pan Aleksander polecał, protegował, torował drogę. A gdy wyczuwał, że nie może pomóc, albo że jego osoba byłaby przeszkodą w jakimś przedsięwzięciu literackim zalecał: „niech się pani zwróci z tym do Tymona Terleckiego. To opoka, na której można się oprzeć. I jest bezinteresownie życzliwy...”

Ukazanie się nowej, dobrej polskiej książki witał zawsze z zadowoleniem i radością, że w trudnych warunkach emigracyjnych udało się pisarzowi znaleźć subskrybenta, wydawcę, nabywcę, czytelnika.

Pan Aleksander był wielkim wyznawcą Norwida i propagatorem jego poezji. Kiedyś, w odpowiedzi na mój list, w którym dzieliłam się z nim projektami wieczorów autorskich kilku poetów emigracyjnych odpisał:

„Bardzo wartościowe te pani zamierzenia. Ale niech pani kiedyś pomyśli o Norwidzie. Przyjeżdża tu Dora Kalinówna. Cudownie mówi Norwida (...) W dzisiejszych czasach potrzeba nam poezji intelektualnej. Z niej mamy czerpać mądrość. Nie jest to poeta łatwy, o czym pani wie, ale też nie o łatwość pani chodzi...”

Jak Norwid w poezji, tak Józef Conrad Korzeniowski w prozie wydawał mu się najgodniejszy poznania i zalecał gorąco aby tych dwóch pisarzy prezentować Polonii. Gdy kiedyś zgłosiłam gotowość urządzenia wieczoru autorskiego jemu, Aleksandrowi Jancie, odpowiedział kartką:

„Pierwszeństwo Norwidowi i Conradowi, a po nich dopiero ma prawo zjawić się Janta...”

W ostatnich latach tematem listów Pana Aleksandra była bardziej moja, jak jego praca literacka. Entuzjazmował się pomysłem przekładów liryki Róda McKuena. Gdy napisałam jakim sposobem mam zamiar wydać zbiorki wierszy i dotrzeć z nimi do czytelnika, nie tylko chwalił pomysł ale gorąco mnie do realizacji tego pomysłu zachęcał. Patronował niemal temu ryzykownemu przedsięwzięciu, podrzucając mi coraz to czyjeś nazwisko i adres.

„Nawet najbliżsi myślą, że zwariowałam. Są tacy, którzy nie tylko nie wierzą w powodzenie mojej akcji, ale uważają takie wpraszenie się na siłę za poniżające...”

„Poniża człowieka tylko niegodne postępowanie. A pisarza czy tłumacza, zła robota. Niech pani idzie wybraną drogą na nikogo się nie ogląda i nikogo nie słucha.”

Gdy w parę lat potem prof. Tymon Terlecki nazwał mnie „domokrażcą poezji”, o czym wszystko wiedzący Pan Aleksander zaraz się dowiedział, przesłał mi pocztówkę ze słowami:

„Brawo! Tymon obdarzył panią najpiękniejszym komplementem. I jakże trafnym. Że też mnie to nie przyszło do głowy...”

Nie mogę myśleć bez wzruszenia, że każde moje opowiadanie w „Wiadomościach” kwitował listem lub telefonem. Nie zawsze były to słowa pochwały. Krytykował niedociągnięcia, pośpiech, płytkość ujęcia. Ale obok krytyki była też i zachęta do dalszej pracy. A czasami nagana, że się lenię. Pewnego dnia otrzymałam kartkę z krótkim pytaniem:

„Kiedy książka *Kraków na złość* obiecana z okazji «Kurtyny»?”

Gdy telefonicznie tłumaczyłam się, że cierpię na chroniczny brak czasu, wcale nie kurtuazyjnie, z wyraźnym zniecierpliwieniem powiedział:



„Niech się pani nie wykręca sianem, tylko wstaje o godzinę wcześniej rano. Wtedy umysł jest świeży. Jak pani książkę obiecała, to proszę mi teraz słowa dotrzymać...”

Bo Pan Aleksander zawsze słowa dotrzymywał. Ciężko chory, już ledwie władający piórem, dowiadywał się czy aby zamówiona w przedpłacie książka *Nowe odkrycie Ameryki* dotarła do mnie, bo mu się wydawało, że coś pomylił, czegoś nie dopatrywał.

Po ukazaniu się mojego *Tryptyku wojennego* obiecał, że się podzieli wrażeniami z lektury. Pewnego dnia zadzwonił telefon i usłyszałam znajome słowa: „Tu mówi Aleksander”. Głos był zmieniony, suchy, nie miał już znanego mi, ciepłego tonu. „Chcę pani coś powiedzieć, bo obiecałem obszernie omówienie, ale wiem, że już nic nie napiszę... Właśnie skończyłem czytać *Tryptyk*”.

Rozmawialiśmy długo. O zadaniach pisarza i jego obowiązkach wobec czytelnika i siebie. „Niech się pani nie prześlizguje po temacie — pogłębi to, co dotyczy konspiracji, okupacji. Niech pani tej książce poświęci jeszcze raz dużo pracy, rozbuduje ją. Uczyni z niej dokument swoich czasów. Bo taka, jak jest teraz, pozostawia niedosyt. Niech pani ten błąd naprawi, a potem doprowadzi do drugiego, poszerzonego, uzupełnionego wydania... Ja już do pani pewnie nigdy nic nie napiszę ani się na Long Island nie spotkamy. Sytuacja jest podbramkowa. Ja po prostu umieram, pani Rózo... Więc proszę pamiętać, książkę rozpracować. To jest moje ostatnie dla pani zalecenie. Mocno panią ściskam i dużo czułości przesyłam... i niech pani na miłość Boską nie płacze!”

Otwieram na chybił trafił *Ducha niespokojnego*:

„A ja nie wiem, jak sobie poradzić z przyplywem nagłego wzruszenia, niby człowiek, który po raz pierwszy zrozumiał wszystko. Życie i śmierć.”

Zmarł wielki pan. Pan Aleksander.

(Poprawiona wersja tekstu drukowanego w: „Gwiazda Polarna”, Stevens Point, USA, X–XI 1977.)

\*

## PISANY POMNIK DLA ALEKSANDRA JANTY

(Wywiad telefoniczny z prof. Tymonem Terleckim)

Z Aleksandrem Jantą łączyła mnie bliska przyjaźń. W kilkunastu latach, od chwili poznania interesowałam się szczerze wszystkimi moimi poczynaniami zarówno literackimi, dziennikarskimi jak i kulturalno-społecznymi. Toteż gdy zwrócono się do mnie o napisanie wspomnienia o Panu Aleksandrze do zbiorowej książki, propozycję przyjąłam skwapliwie. Wiązanka serdecznych słów, zamiast wiązanki kwiatów. Cegielki zdań, zamiast cegiełek na budowę pomnika.

Z osobistych spotkań i z listów dowiadywałam się o postępie prac nad książką, o trudnościach spowodowanych strajkiem poczty w Kanadzie, o opóźnieniach (także: *mea culpa!*) w nadsyłaniu prac przez współautorów i o benedyktyńskiej pracy redaktorskiej nad zebrany materiałem.

Umówiliśmy się z prof. Terleckim późną jesienią 1975 roku, że zatelefonuję na wiosnę. Co właśnie zrobiłam. Oto wynik tego telefonu:

*Róża Nowotarska: Chciałam porozmawiać z panem profesorem o książce zbiorowej, poświęconej Aleksandrowi Jancie.*

**Tymon Terlecki:** Dobrze pani trafiła, bo właśnie zamknąłem mozolną pracę adiustowania materiału i w formie gotowej do druku przesłałem na ręce Wali Jantowej w Nowym Jorku. Mogę w tej chwili odpowiedzieć na wszystko co panią interesuje.

*Od kogo wyszedł projekt książki?*

Po śmierci Janty wielu jego kolegów i przyjaciół miało poczucie, że jego bogate, bardzo czynne i wielostronne życie wymaga pełniejszego podsumowania, niż to jakie było możliwe w istniejących